Cena 20.000 mk. № 8.

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy" Szpitalna 1 m. 3 II-ie p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godziny 4 — 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca

WARSZAWA, DNIA 3 LISTOPADA 1923 ROKU.

Wobec przedostatniej rekonstrukcji.

„Miałeś chamie złoty róg
ostał ci się jeno sznur".
(*Wyspiański*).

Ostatnia rekonstrukcja gabinetu jest jak gdyby postawieniem kropki nad „i" w sprawie definitywnego sprecyzowania programu prac obecnego rządu—jest przypieczętowaniem zupełnego upadku myśli demokratycznej w sferach kierujących stronnictwem ludowem Piast, oraz wbiciem ostatniego gwoździa w wieku jego trumny.

Pan Witos, chcący przed pięcioma miesiącami, jak krążyły pogłoski tendencyjnie puszczane przez zainteresowane sfery, odegrać rolę Wallenroda w stosunku do Chjeny, przegrał stawkę z kretesem, jako polityk i leader stronnictwa.

Stronnictwo jego, mogące niewątpliwie odegrać historyczną rolę w dziejach odrodzonej Polski, mogące dać silne podwaliny pod demokratyczny ustrój państwa, mogące wreszcie dać chłopu tak upragnioną przez niego ziemię, z woli swego przezesa Witosa nie uczyniło nic w kierunku zrealizowania swych najistotniejszych postulatów.

Obijają się często o uszy wzmianki o istotnych przyczynach ustosunkowania się pana Witosa i jego kilku najbliższych przyjaciół do stronnictw Chjeny, są one jednak tak brzydkie, że powtarzać ich nie będziemy; idzie nam bowiem w tej chwili nie o przytaczanie mniej lub więcej prawdziwych wiadomości, lecz o wyciągnięcie kilku wniosków odnośnie roli i stanowiska demokracji wobec wytworzonej sytuacji.

Witos i jego stronnictwo na pakcie zawartym z Chjeną, faktycznie, poza prywatnemi koncesyjkami, nic nie zdobyli dla zaspokojenia wymagań swych wyborców, co ostatecznie w bardzo ostrej formie w najbliższym czasie powinno się okazać i nie wątpimy, że się okaże.

Zainteresowany element chłopski zareaguje w formie czynu, co do którego rozmaite stawiać można horoskopy, w każdym razie należy się liczyć z tym, że będziemy świadkami ruchu żywiołowego, wykluczającego półśrodki. — Autorytet zasiadających w rządzie mężów stronnictwa w osobach pp. Witosa, Kiernika i Osieckégo nic tu nie pomoże, zresztą sądząc z konsekwentnego kierunku rekonstrukcji gabinetu, panowie ci w najbliższym czasie zostaną zupełnie wyęliminowani ze sfer rządzących. Zupełnie nie zdziwilibyśmy się, gdyby wśród ministrów obozu Piastowego w najbliższym czasie zaczęła grasować złośliwa polityczna „hiszpanka“. Zastępcy wszak są już upatrzeni, a dla poratowania zdrowia i zupełnego wyjaśnienia sytuacji dobrze byłoby uzyskać urlop kuracyjny—a może nawet ustąpić.

W tej chwili jest to jedyna dla Witosa droga ucieczki przed odpowiedzialnością wobec swych wyborców. Będzie wówczas choć to tłumaczenie, że chciało się zwalić Chjenę na obie łopatki, zrobiło się potężny wysiłek, zagrało się trudną rolę, a że się przegrało, to już zrządzenie losu — temu nikt się przeciwstawić nie zdoła. Może naiwni chłopkowie uwierzą.

Po zbilansowaniu sytuacji politycznej stwierdzić należy, że przez podporządkowanie się Witosa Chjenie demokracja polska wiele straciła, jeśli wziąć pod uwagę wartość bezpośredniego udziału w rządach państwem, jednak wiele również zyskała przez wewnętrzne skonsolidowanie swych szeregów.

W tej chwili, pomijając walkę opozycyjną, jaką demokracja nasza toczyć będzie z rządem, czeka ją druga walka, niemniej trudna, bo z wyłaniającemi się powoli lecz stale nieoficjalnemi skrajnemi elementami, z komunizmem i jego następstwem— anarchją.

Sytuacja już dostatecznie dojrzała, by państwowo myśląca lewica wypracowała program i formę współpracy, obliczonej na dłuższą metę, przystąpiła do budowy szańców z prawa i lewa, gdyż dłuższy stan bierności, dalsze operowanie paljatywami zaprowadzą nas niechybnie w wir niebezpiecznych walk wewnętrznych. Szerokie masy burzą się i domagają jasnych wytycznych, nie tylko zapewnień o tem, że czuwamy.

Panowie z pod sztandaru międzynarodowego kapitalizmu, czy międzynarodowego komunizmu zawsze znajdą platformę współpracy. Demokracja zaś w chwili obecnej jest między Scyllą i Charybdą; musi wzmocnić boki swego frontu, gdyż zetrą ją wspólnie czynniki anarchji prawicowej i lewicowej.

Ostatni.

P. Dmowski obejmuje ster polskiej polityki zagranicznej w okolicznościach i sytuacji zaiste niezwykłej. Wchodzi do gmachu przy ulicy Wierzbowej w chwili, gdy program jego zbudowany za czasów niewoli i w perspektywie długiego jej trwania zbankrutował ostatecznie pod ciosami nieubłaganemi życia i pomyślnej rzeczywistości Polski. Ma za sobą, publicznie przez siebie pochwalony, pięciomiesięczny okres urzędowania dzisiejszego vice-ministra spraw zagranicznych, p. Marjana Seydy, który absolutny brak jakiegokolwiek programu zastąpił brutalnem i bezwzględnem stosowaniem metody działania Narodowej Demokracji, zarówno w stosunku do własnego społeczeństwa, jak do zagranicy. Zasadniczą podstawą i wyrazem tej metody, było przystosowanie działań i wystąpień ministra spraw zagranicznych do upartego, tępego — „nie ustąpię".

W imię tego hasła opinja polska była przez pięć miesięcy systematycznie wprowadzana w błąd co do stanu spraw zagranicznych. Publiczne wystąpienia ministra spraw zagranicznych i inspirowane artykuły prasy rządowej zostały zużytkowane wyłącznie na to, aby każdą klęskę, która spotykała Rzeczpospolitę na forum międzynarodowem wytłómaczyć na wewnątrz, jako powodzenie lub zwycięstwo, w najgorszym wypadku, jako krok naprzód. Dowiadujemy się tedy w swoim czasie, że kompromitacja naszej delegacji Genewskiej w sprawie konwencji Gdańskiej była zwycięstwem, a klęska na wyborach do Rady Ligi Narodów „krokiem naprzód„.

W stosunku do własnej opinji, a w szczególności do opinji sejmowej komisji spraw zagranicznych, która nie dorosła jeszcze do swoieh zadań i ma zbyt mało członków orjentujących się w zagadnieniach życia międzynarodowego, manewry p. Seydy dały dla niego i obecnego rządu rezultat zadawalniający, przypieczętowany spokojnem przyjęciem do wiadomości, że p. Minister spraw zagranicznych był agentem obcego państwa i że wszystko jest w porządku albowiem nikt mu nie zarzucał, że był agentem płatnym.

W stosunku do zagranicy manipulacje p. Seydy pozbawione elementarnych podstaw moralnych życia społecznego i państwowego pozbawiły polską politykę zagraniczną jedynego w tej chwili narzędzia walki i działania, t. j. opinji publicznej. Przez pięć ostatnich miesięcy wrogowie Polski przekonali się praktycznie, że Polsce można zadawać największe klęski, że można pomiatać godnością i dumą tego dwudziesto ośmio miljonowego państwa o świetnej przeszłości dziejowej, bo jest w Warszawie minister spraw zagranicznych i prasa rządowa, którzy, zanim wieść o zadanych Polsce razach nad Wisłę przyjdzie, zanim wywoła odruch oburzenia czy oporu, wytłómaczą szerokiej opinji, że to nie klęska lecz zwycięstwo, a w najgorszym wypadku prze-

niosą winę na barki opozycji polskiej i jej najlepszych reprezentantów, którzy dali jej Wilno, Lwów, którzy zdobyli jej wojsku sławę światową.

Wszystko to zaaprobował publicznie i wziął na swój rachunek p. Dmowski, a zostawiając p. Marjana Seydę, jako prawą rękę swej dalszej pracy zapowiedział, że zmian zasadniczych nie będzie i być nie może. Nie będzie więc zapełniona próżnia programowa w polityce zagranicznej, której cynicznym wyrazem była działalność p. Seydy, nie będzie zmieniona metoda działania, która stworzyła nazewnątrz pozory, że Polska jest pozbawiona najelementarniejszego poczucia godności narodowej, że wielki nasz naród nie ma innych ambicji poza spełnieniem małych i niskich celów, które postawił przed nim dostosowany do warunków niewoli i w ich niezdrowej atmosferze wyrosły program Narodowej Demokracji. Tyle powiedział nam p. Roman Dmowski.

Jego twórczość polityczna i działalność dopełniają obrazu nie pozbawionego tragicznych rysów, właściwych momentom śmierci ludzi najbardziej pożałowania godnych i maluczkich.

P. Dmowski szedł przez życie z upartem hasłem, że naród polski to narodowa demokracja przezeń stworzona, że kto pozostaje poza ramami ideowymi tego stronnictwa, ten nie jest polakiem, kto z nim walczy, ten jest wrogiem narodu. P. Dmowski w programowych swych dziełach widział przyszłość Polski w oparciu o sojusz z Rosją i o taki układ sił w Europie, którego podstawą byłby sojusz francusko-rosyjski. Kiedy to zawiodło, wołał o braterstwo z pogrobowcem tego programu w Europie, p. Beneszem.

Pragnąc budować Polskę, p. Dmowski szukał podstaw dla tego dzieła nie w naszej wiekowej przeszłości historycznej, nie w walkach o wolność demokracji polskiej końca osiemnastego i całego dziewiętnastego stulecia, ale w przemijającym układzie sił materjalnych, powleczonych na ziemi polskiej ponurym mrokiem niewoli.

Kiedy Polska wolą dziejów i własnym wysiłkiem uwolniła się jednocześnie od tych, którzy w pojęciu p. Dmowskiego byli jej wrogami i od tych, którzy mieli być sojusznikami, od Niemiec i Rosji, p. Dmowski zawahał się i nie odważył się radośnie wstąpić na pokład statku Rzeczypospolitej, wypływającego, jego zdaniem na zbyt otwarte morze. Wolał płynąć dalej z zanikającym już w całej Europie prądem czasów z przed wojny, z przed katastrofy Niemiec i Rosji, z przed zwycięstwa demokracji nad reakcją.

Minęło pięć lat. Bez udziału p. Dmowskiego żołnierz polski ofiarą krwi pod wodzą Marszałka Piłsudskiego, zwolnionego z twierdzy Magdeburskiej zdobył granice wschodnie Rzeczypospolitej, a z niemi gwarancję jej niepodległego bytu, dyplomacja

polska kierowana rękami ludzi, ogłoszonych przez p. Dmowskiego za wrogów narodu i Ojczyzny, dała Polsce uznanie tych granic i oparła jej przyszłość o współpracę z wielkiemi demokracjami zachodu i o coraz zacieśniające się więzy sympatji i przyjaźni z wyzwolonemi narodami wschodu Europy.

W ogniu walki o lepsze jutro Europy, o usunięcie z jej życia resztek stupięćdziesięcioletniego okresu panowania trzech imperjalizmów opartych na ucisku i militaryzmie, podstawą którego była niewola Polski, demokracja polska oparła się na głębokiej, płomiennej wierze w siły żywotne narodu i jego doniosłe dziejowe zadania. I Polska zwyciężała, zdobywając sobie powoli należne stanowisko w wielkiej rodzinie narodów świata.

Po tem wszystkiem zjawia się na pokładzie Rzeczypospolitej p. Roman Dmowski.

Jeżeli to wszystko, co powiedział w przededniu rekonstrukcji rządu, jest jego wyznaniem wiary, jeżeli przychodzi tylko po to by zręczniej i mniej niewprawną ręką robić to co zrobił p. Marjan Seyda, to będzie on ostatnim trupem wyrzuconym na pokład Rzeczypospolitej żywiołową falą życia Polski Nowoczesnej, która musi pozbyć się nawet pamiątek niewoli.

Do głębi państwowo usposobiona demokracja polska, będzie czas jakiś czekać jeszcze spokojnie i cierpliwie czy trup nie ożyje, przyjaciele zastosują sztuczne oddychanie, ale jeśli to się okaże daremne i trup nowem życiem natchniony nie powstanie, przejdzie do przeszłości bez pogrzebu, a załoga statku zapomniawszy o nim znajdzie sobie sternika, który nawę Rzeczypospolitej pewną i świadomą ręką w jasną pchnie przyszłość.

Inwigilacja Marszałka Piłsudskiego.

Przed paru jeszcze laty byliśmy mniej uczeni, a może mniej wykwintni i ilekroć spostrzegaliśmy depcące nam systematycznie po piętach indywiduum o matołkowatym wyglądzie, notujące sobie każdy nasz krok w notesiku, wiedzieliśmy, że mamy do czynienia ze — szpiegiem. Zdrobniale nazywało się czasami takiego pana—szpiclem. Funkcję przezeń wykonywaną — szpiegowaniem lub szpiclowaniem. Kto kogo szpiegował?

Moskal lub niemiec polskiego patrjotę, działacza z obozu politycznego snującego ideje niepodległościowe, ludzi nieugiętych, hardych, wrogom Ojczyzny wrogów na śmierć i życie, tych wieszanych i rozstrzeliwanych w roku 1905 i ginących w szarych kurtach legjonowych od kul moskiewskich, kul błogosławionych również przez polaków zasiadających dzisiaj dumnie na ławach rządowych w Wysokiej Izbie Sejmu Rzeczypospolitej.

Szpiegował moskal polskiego patrjotę za mozolną pracę budowy wielkiego historycznego dnia listopadowego w r. 1918, szpiegował w poczuciu grożącego z tej strony niebezpieczeństwa jego stanowi posiadania na ziemiach polskich, szpiegował i mordował zresztą również z podszeptów i zachęty znów panów polaków obozu dzisiaj szumnie „narodowym" się zwącego, z którego nie kto inny, jak właśnie mąż czołowy — Roman Dmowski w roku 1905 domagał się od Wittego do swojej dyspozycji korpusu moskiewskiej żandarmerji i szerokich pełnomocnictw, zobowiązując się stłumić pierwszy wybuch narodowej rewolucji.

Ten porządek rzeczy: kto był szpiegowany w latach walki i kto szpiegował, względnie ze szpiegami współdziałał bądź to czynnie, bądź to przez popieranie i adorowanie polityki szpiegujących, winien być szczególnie dobitnie dzisiaj pamięci społeczeństwa przypomniany, gdy musimy uwiecznić, tak niesłychany w państwie narodu kulturalnego, fakt szpiegowania budowniczego jego niepodległości, twórcy armji, Marszałka i Naczelnika Polski.

Kto kogo szpieguje, czy, jak się ta smutna funkcja swolkieniów dzisiaj uczenie nazywa — inwigiluje? Moskiewskich szpiegów poplecznicy i doradcy, szpiegują tych, którzy byli w latach niewoli szpiegowani, więzieni, wieszani i rozstrzeliwani. W tym, burzącym krew, wypadku szpiegują obozu najofiarniejszych patrjotów—wodza, największego męża stanu i żołnierza Polski. Wiadomość o rozkazie szpiegowania Marszałka Piłsudskiego, wydanym przez szefa Wydziału Wywiadowczego Oddziału II Sztabu M. S. Wojskowych, majora Pieczonkę, któremu w N. 2-gim Głosu Prawdy poświęciliśmy parę słów uwagi, została przez wykrętny komunikat oficjalny zatuszowana. Doniesiono o zawieszeniu i oddaniu pod sąd majora Pieczonki, wraz z dwoma innymi oficerami, a mianowicie: porucznikiem Błońskim, któremu rozkaz szpiegowania wydano (!) i kpt. Kruk-Strzeleckim, winnym przyjęcia od swego podkomendnego pisemnego raportu i przekazania go, w myśl wymagań służbowych, wyższemu przełożonemu.

Wolno stąd wyciągnąć wniosek, że centralnym władzom wojskowym, a więc p. ministrowi Szeptyckiemu wydało się karygodnem niewykonanie przez por. Błońskiego rozkazu szpiegowania Marszałka, oraz przyjęcie przez kpt. Kruk-Strzeleckiego raportu w tej sprawie od swego podkomendnego. I będziemy musieli czekać cierpliwie orzeczenia niezależnego polskiego sądu, aby wreszcie usłyszeć autorytatywne wyjaśnienie, czy taka ocena nakazu honoru polskiego oficera przez generała austrjackiej moralności jest słuszna i dla armji pożyteczna, czy też fałszywa i zgubna.

*

Jakie są pobudki wydania podobnie hańbiącego armję rozkazu i kto jest zań odpowiedzialny?

Nie bez znaczenia dla wszechstronnego wyjaśnienia sprawy jest jej strona teatralna. Wedle wiarygodnych informacji przedstawia się ona jak następuje:

Dnia 7 października wieczorem p. major Pieczonka wezwał do jednego z hotelików stołecznych, (sic!) referenta w Oddziale II Sztabu generalnego por. Błońskiego. Już ta pierwsza okoliczność rzuca dobitne światło na spryt p. Pieczonki, uznającego snadź za bezpieczniejsze dla siebie uniknąć służbowego charakteru rozkazu, który normalnie winien być wydany w miejscu urzędowania, i potwierdzony na piśmie. Moment ostrożności uwypukla jeszcze i drobny napozór szczegół, a mianowicie: wystąpienie mjr. Pieczonki w ubraniu cywilnem.

Wysłuchawszy raportu swego referenta z zakresu jego kompetencji służbowej p. Pieczonka oświadczył, iż wprawdzie podziela on niebezpieczeństwo wpływów komunizmu w armji, jednak w chwili obecnej największe niebezpieczeństwo grozi Polsce ze strony Marszałka Piłsudskiego i legjonistów wraz z lewicą. Uważa więc (on, Pieczonka, nowy Guzik Polski) za wskazane dać spokój komunistom nie występującym przeciwko obecnemu rządowi, a zająć się „inwigilacją“ obozu Marszałka Piłsudskiego wraz z jego osobą. P. Pieczonka parokrotnie podkreślił, iż sprawa. jest bardzo pilna, jako życzenie pana ministra (oczywiście — spraw wojskowych) i wobec bliskiego zamachu stanu ze strony Marszałka i jego organizacji, co ustalił p. Swolkień. P. Pieczonka nie zapomniał wreszcie dodać, że wszelkie sumy niezbędne na koszty „inwigilacji“, t. j. wynajem drabów i niezbędne dla nich akcesorja toaletowe, może nawet na próbę przekupienia kogoś z bliskiego otoczenia Marszałka, lub wogóle kupienie jakichś „wiarygodnych świadków“ Jego zamachowych knowań — będą w każdej chwili wyasygnowane.

Po tej konferencji, por. Błoński zgłosił się do szefa Oddziału II-go Sztabu płk. Bayera, zameldował mu treść otrzymanych rozkazów, oraz złożył raport na piśmie swemu bezpośredniemu przełożonemu.

Wykonanie wstrzymał zaskoczony i zdetonowany płk. Bayer.

*

Potworność sprawy potęguje fakt powołania się mjr. Pieczonki na życzenie p. ministra spraw wojskowych. Istotnie trudno pomyśleć, aby pierwszy lepszy naczelnik wydziału w Sztabie ważył się bez rozkazu z góry na krok tak haniebny i ryzykowny. Fakt, że o rozkazie szpiegowania Marszałka nie wiedział ani szef Oddziału II-go, ani szef Sztabu wskazuje, iż mógł on być wydany jedynie bezpośrednio przez jeszcze wyższego Pieczonki przełożonego, t. j. ministra spraw wojskowych

A więc ten sam hr. Szeptycki, który na komisji sejmowej uskarżał się na inwigilowanie jego osoby przez Oddział II Szt., czytający rzekomo jego prywatne listy, a do dnia dzisiejszego, mimo naszych natarczywych żądań, nie chce wskazać winnych, ani pociągnąć ich do odpowiedzialności sądowej, wydał oskarżonemu oddziałowi rozkaz „inwigilowania“ Marszałka, któremu dzisiaj zawdzięcza swoje szlify generała i godność ministra Rzeczypospolitej.

Co go skłoniło do kroku tak wstrętnego i niegodnego już nawet nie polaka, ale człowieka choć trochę rozumnego i uczciwego?

Chcemy wierzyć, że tylko strach. Ten sam strach, który w 1920 roku kazał mu padać na kolana, dosłownie na kolana przed Trockim i Budiennym, aby błagać o litość i przebaczenie. Ten właśnie strach rzucił go dzisiaj na kolana przed generalnym „inwigilatorem„ Swolkieniem, plotącym, dla umocnienia swej pozycji wobec rządu, durne bajki o... Marszałku Piłsudskim, miast zająć się swemi kolegami po fachu, grasującemi z ramienia obcych i wrogich państw na ziemiach Polski.

Każde państwo ma swoich Swolkieniów, ale nigdzie i nigdy nie było możliwe, aby tak skompromitowany „inwigilator“ mógł być trzymany na służbie, nie mówiąc już, aby kiedykolwiek mógł rządzić się jak szara gęś w ministerstwach i odgrywać rolę dygnitarza państwowego. Jeśli już los chce, że Rzeczpospolita nie może się obejść bez wrzodu w postaci urzędu p. Swolkienia, wolno się domagać, aby się nim nie chwalono pozwalając mu zająć czołowe miejsce, a ukryto dyskretnie na niżej położonych i wstydliwie osłoniętych częściach ciała.

Ministra zaś, którego taki wrzód mógł przyprawić o utratę równowagi myślowej, trzeba zwolnić z odpowiedzialności za popełnione czyny, pod warunkiem, że będzie sprowadzony do właściwej roli, to znaczy pensjonarza domu inwalidów we Lwowie, gdzie znajdzie jeszcze kilku kolegów z wiedeńskiej szkoły rycerstwa austrjackich świętych: Matołka i Rejterady.

W. Stp.

O usłużnym „Maciusiu”.

Szefem Wydziału Prasowego w Prezydjum Rady Ministrów został od niedawna, w zastępstwie „dobrowolnie urlopującego“ (jak zaznaczał komunikat) p. Morawskiego — p. Szczerbiński Maciej.

Jest to osobistość bardziej znana w sferach dziennikarskich i sejmowych pod filuternem mianem „Maciusia“. Koleje życia „małego Maciusia“ są, coprawda, dziecinną igraszką wobec fantastycznych i iście kinowych losów „senatora z Honolulu“ — jednak warto też i na tę wesołą postać naszych smutnych czasów rzucić promyczek światła.

Podrzędny dziennikarz krakowski, zrzadka dostąpić mógł zaszczytu umieszczenia kilku wierszy kroniki miejscowej, kiedy losy uśmiechnęły mu się w rumianej postaci redaktora *Kurjerka Ilustrowanego*.

P. Marjan Dąbrowski, poseł, redaktor, dyrektor teatru podrzędnej wartości ocenił własną miarą wysokie wartości „Maciusia" i kiedy, po dość szęśliwie przeprowadzonej tranzakcji nabycia mandatu, wszedł do Sejmu, by nigdy pary z ust nie puścić — chyba, że w bufecie—i udał się do Warszawy w celu „posłowania", odnalazł w „Maciusiu" wiernego sługę.

„Maciuś" służył wiernie, telefonował wiadomości sejmowe do Kurjerka i był twórcą popularnego określenia „pasko-piasty". Tak było... ale zmieniły się czasy i poglądy — wzrosła pensja, a „Kurjerek" stał się apologetą Witosa. Znikły „pasko-piasty", zjawił się „rozum polityczny i rozległa wiedza obecnego premjera i t. d.".

Maciuś umiał pogodzić zapatrywanie własne z poglądami dwuch naraz szefów, aż sam został... szefem. Szefem biura prasowego Prezydjum Ministrów! Karjera! Karjera! Że się szefowie pokłócili zlekka, to rzecz błaha... Służyć trzeba i jednemu i drugiemu... I oto zaczyna się chwalebna działalność „Maciusia". P. minister Kucharski obejmuje rządy. Pan poseł Dąbrowski nie ufa Kucharskiemu, upieczonemu zresztą z tej samej mąki aprowizacyjnej i bardzo mu wymyśla: „Szakal — mentorem" pisze w swoim *Kurjerku* o Kucharskim. Jeżeli ten mógł zostać ministrem, to i ja też chyba... Dość mnie przecie pieniędzy kosztował Witos! P. Maciuś uważnie przygląda się homerycznej walce swych szefów, ale, gdzie się dwóch kłóci dobrze się dzieje trzeciemu, który przykucnął i słuchał...

P. Kucharski wygłosił dziewicze *exposé* do prasy... p. Maciuś w te pędy chyc za stenogram oficjalny (!) i do budki telefonicznej bieży... Do *Kurjerka* nadaje całe przemówienie, on pierwszy, pierwszy! Dobrze służy!

Drobna to sprawa prywatny użytek zrobić z oficjalnych dokumentów przed opublikowaniem ich, ale wylecieć za to można z łatwością i to do budki, mniej komfortowej od telefonicznej. Ale p. Maciuś ma obrońców... i potrafi się odwdzięczyć!

Nadszedł dzień głosowania w Sejmie. Będzie „zaufanie", czy też „do więzienia, do więzienia bez żadnego tłomaczenia", jak tyle lat przed Witosem rzekł poczciwy starszy pan Fredro w jasnowidzeniu późniejszych dziejów.

Ano... jest zaufanie... i przytem nie byle jakie!

P. Maciuś bieży do biurka i fabrykuje depeszę o radości obywateli z powodu „doskonałych wyników głosowania". Przysłużyć się panu swemu miła to rzecz! Wie nawet o tem, że kolonja polska z Urugwaju ściele się do stópek i podziwia arcy-Witosa!

Arcy-filut z Maciusia!

Rośnie p. Maciuś, rozpiera go pycha! Gdziekolwiek się co stanie, on wie o tem, bo jakże... szef biura prasowego Prezydjum Ministrów?

On wie, jak trzeba „obsługiwać" prasę i obsługuje ją, jak za dawnych swych czasów! Każdy komunikat prezydjum jest przez niego zredagowany! Nawet odezwa, podpisana przez Jarmułowicza po wybuchu w cytadeli została napisana przez niego. Jarmułowicz podpisać jej nie chciał, tak była kłamliwa, ale „Maciuś" umie grozić, kiedy wie, że za nim stoją czyjeś wielkie, z cholewami buty! „Prezydent kazał"! — I odezwa Maciusia na wszystkich rogach ulic dziewiczą białością demonstruje jego talenty.

W kraju wybucha fala strajków. „Gdzieś pod Lwowem na szyny położono podkłady w celu wykolejenia pociągów". „Teror strajkujących". „Napad na maszynistę". O tem wszystkiem wie Maciuś przy biurku w prezydjum i usłużnie opycha prasę swemi komunikatami!

Powodzenie czyni bezczelnymi tylko głupców! Jakże bezczelnym jest „Maciuś", informator prasy, „sługa obu panów"! I jak bezgranicznie naiwnym jest jednocześnie, sądząc, że nikt nie rozumie tej komicznej w swoich wysiłkach chęci ukrycia z gruba „po szewsku", „po kamieniarsku" robionej koronkowej robótki małego, usłużnego Maciusia.

Musimy popsuć „Maciusiowi" zabawę... Niech się nie łudzi!... Dobrze wiemy o jego talentach i cieszymy się, że znalazły wreszcie odpowiednie zastosowanie!

Mała przyjecielska przestroga. Na giełdzie sprzedajnych piór jest wielka podaż! Ot pierwszy... z brzega Brzeg zastąpi go chętnie. Tak mu zazdrości, że aż wstyd patrzeć! Uwaga, Maciusiu! Miej się na baczności, bo cię pożrą własne „chjeny".

Przykre echa amerykańskiej ekskapady profesora Letha.

Każdy człowiek, a polak w szczególności zna doskonale pojęcie szczęścia w nieszczęściu. Klasycznym przykładem tego pozornie paradoksalnego pojęcia jest wielka, rasowa, historycznie wielokrotnie stwierdzona odporność polaka na obce wpływy wynaradawiające. Prawdziwym szczęściem w nieszczęściu niewoli była nasza naturalna zdolność i siła zachowania ducha narodowego w stanie aktywnym, lub przynajmniej gotowości do działania. Jeśli zwrócimy oczy na Śląsk Górny, znajdziemy tam żywe dokumenty niezniszczalności duszy polskiej, daleko przekraczające wszystko, czem może się poszczycić pod tym względem historja innych narodów. Gdy przebiegniemy wzrokiem bezbrzeża kolosa rosyjskiego, sześćdziesięcio miljonowe szeregi przedsiębiorczych i zachłannych niemców, splot narodów pokrywających, w mgnieniu oka nieomal, lasem kominów tak niedawno dzikie stepy Nowego Świata — wszędzie znajdziemy polaka, świadomego swej odrębności narodowej i przepełnionego poczuciem łączności z ziemią ojców.

Nie możemy poczytywać sobie za powód do radości, iż wielka ilość, miljony polaków w poszukiwaniu środków egzystencji musiało emigrować z kraju i wprzęgać swe pierwszorzędnej wartości zdolności robocze w obce organizmy państwowe, składać kapitał swej pracy do obcych skarbców narodowych. Ale jest prawdziwą w tym nieszczęściu radością miłość, najczystsza, bo platoniczna miłość tych miljonów emigrantów dla Polski i wielka gotowość składania Jej szczodrych ofiar.

Wiemy, ile winni jesteśmy polakom amerykańskim. Wiemy ile dziesiątków i setetek tysięcy dolarów wpłynęło z węzełków robotniczych, przez ocean, po latach rozłąki, do kasy państwowej, wielu instytucji humanitarnych, na cele narodowe, kulturalne, dla żołnierza, dla dzieci,—na wiele, wiele celów, które się mogły w Ameryce poszczycić imieniem polskim. Wiemy, jak wielokrotnie, oddawane z zaufaniem przez robotnika polskiego w Ameryce, ciężko zapracowane dolary, były używane na cele zapowiedziom przeciwne, ile z nich poszło na brzydką demagogję polityczną, na przedsięwzięcia nic wspólnego z intencją ofiarodawców nie mające. I mogliśmy się niejednokrotnie przekonać, jak ci ludzie bezgranicznie ofiarni, tylekroć poprostu nieszlachetnie wyzyskiwani, gotowi są ciągle jeszczcze do świadczeń dla Polski, jeśli ktoś potrafi przemówić do nich językiem szczerym i braterskim.

Nie popełniamy zapewne przesady twierdząc, że zapłacili oni sowitszy na rzecz Polski podatek niż my, z dobrodziejstw tej obficie korzystający, których losy osobiste nie dadzą się od Jej losów wyodrębnić.

A jeśli tak, jeśli w nieszczęściu postradania tylu krzepkich rąk przy odbudowie państwa dożyliśmy tego wielkiego szczęścia, że nie są dla nas stracone zupełnie, że wspomagają pracę naszą, wprost z nieba nam spadającemi, plonami swojej, przymusowej dla obcych, pracy — mamy obowiązek szanować ich uczucia słusznej dumy, cenić i rozumieć ich subtelne wrażliwości, tem więcej, że są oni dziećmi Polski jakgdyby pozbawionemi wzroku, i patrzącemi na Nią oczyma nielicznych gońców, opowiadających im o Tej, którą tak kochają i dla której tak wiele ponoszą i gotowi są ponieść ofiar.

*

Z powyższych wychodząc założeń, poczytujemy sobie za obowiązek poruszyć na tym miejscu nieznaną społeczeństwu wyprawę znanego profesora Uniwersytetu Warszawskiego dr. Lotha, jaką odbył w czasie ubiegłych wakacji do Ameryki, w celu zebrania funduszów dla Centrali Akademnickiej, której był delegatem. Sprawa wymaga publicznego wyjaśnienia dla tych przedewszystkiem powodów, że na szereg konkretnych, skierowanych pod jego adresem zarzutów polskiej prasy w Ameryce, prof. Loth nie uważał za właściwe odpowiedzieć, pozostawiając wśród tamtejszej Polonji jaknajgorsze i krzywdzące Polskę wspomnienia.

By uniknąć zbytecznej polemiki i odjąć jej zgóry demagogiczne argumenty, nadużywane skwapliwie przez przyjaciół politycznych p. prof. Lotha, opieramy się na wystąpieniach i zarzutach *Dziennika Chicagoskiego*, organu bezpartyjnego, umiarkowanego, a nawet klerykalnego, wykluczającego zgóry z tej jedynej w swoim rodzaju polemiki, podejrzenia stronniczości.

Zarzut główny wytoczony przez ten dziennik prof. Lothowi, to „przeszwarcowywanie pod płaszczem delegata uwielbienia dla zbrodniarza" (Niewiadomskiego). Ten sam zarzut detroicki *Dziennik Polski* formułuje jak następuje: „Wszystko byłoby bardzo pięknie i misja prof. Lotha mogłaby się udać znakomicief gdyby umiał trzymać język za zębami i nie zdradzał się **na każdym kroku** ze swojemi sympatjami ku czcicielom Niewiadomskiego. Argumenty w tej sprawie, głoszone do kilku znanych nam dobrze osób, były **takie płytkie i takie niezgrabne,** iż osoby te nie wiedziały, co mają sądzić o kwalifikacjach umysłowych warszawskiego profesora" (sic!!).

Powyższe oskarżenia stwierdzają więc niezbicie, iż prof. Lotha pod pozorem akcji humanitarnej, apelując do wszystkich polaków amerykańskich o daninę na cele polskiej nauki, nie potrafił ustrzec się akcji politycznej, mającej na celu podniece-

nie waśni politycznych i to na płaszczyźnie tak hańbiącej i niegodnej przedstawiciela polskiego intellektu. Apoteozując, w myśl wskazań mątów społecznych wychowanych i prosperujących w zaułkach ciemnoty politycznej i bagna moralnego — zbrodnię na osobie Rzeczypospolitej konstytucyjnego Prezydenta, przeoczył on przedewszystkiem różnicę poziomu kulkuralnego polskiej społeczności amerykańskiej i kołtunerji warszawskiej, radzymińskiej czy bydgoskiej. Wobec społeczności, która „w dowód szacunku pamięci zgasłego (obcego—przyp. red.) Prezydenta Warren Gamalid Harding'a“ powstrzymała się w dniu jego pogrzebu od pracy, zachwalać mordercę Prezydenta własnej ojczyzny, znaczy być człowiekiem perfidnym lub szalonym, megalomanem lub ślepcem, prowokatorem lub głupcem.

Akcja prof. Lotha w kierunku zohydzania Polski wobec własnych współbraci amerykańskich i Ameryki samej nie ograniczyła się do apoteozowania zamachów i zbrodni stanu. *W Dzienniku Chicagowskim* czytamy w dalszym ciągu: „Jeśli weźmiemy pod uwagę jeszcze i ten fakt, że pan profesor przebywał w kołach naukowych amerykańskich i jeśli wśród Amerykanów zachowywał się w podobny sposób, jak wśród rodaków, ładne wyobrażenie będą mieli profesorzy amerykańscy o profesorach w Polsce i wogóle o Polsce. Be jeżeli pan profesor wobec Amerykanów pokazywał palcem na gardło, mówiąc, że przyjdzie czas, kiedy będziemy rżnąć Żydów, jak to uczynił wobec nas i innych osób, to nie należy się zbytnio dziwić, jeżeli Amerykanie ci uważają obecnie Polskę za kraj pogromów, bo jeśli tak „humanitarnie“ i „demokratycznie“ jest nastrojony profesor polski, to co tu mówić o masach“.

Logika tego rozumowania jest boleśnie słuszna i ścisła, Przedstawiciel nauki polskiej wystawiający swemu narodowi świadectwo skłonności barbarzyńskich, jako objawu naturalnego i politycznego, jest, nawet w naszych stosunkach, chwastem cuchnącym i kompromitującym.

*

Drugie oskarżenie społeczeństwa polskiego w Ameryce pod adresem prof. Lotha dotyczy niedostatecznego wyrachowania się z zebranych w drodze ofiar publicznych — składek. Dla ścisłości stwierdzamy, że zarzut ten nie kwestjonuje osobistej uczciwości profesora. Wskazany dziennik formułuje go w następujących słowach: „Nie wystarczą ogólnikowe zapewnienia, że pan profesor kontroli „obawiać się nie potrzebuje“, bo wierzymy panu profesorowi na słowo, że nietylko obecnie nie czuje obawy, lecz wogóle nigdy w życiu takiej potrzeby nie odczuwał, ale Wychodźtwo **odczuwa potrzebę** szczegółowego i kompletnego sprawozdania“.

Gorzko nam, obywatelom Rzeczypospolitej, których pan profesor Loth, wszystkich bez wyjątku, reprezentował w Ame-

ryce, słuchać uwag tak prymitywnych i tak niepozostawiających pola do dyskusji, jak w tym wypadku. Wydawałoby się zgoła nieprawdopodobieństwem, by ktokolwiek zbierający publiczne składki, mógł zapomnieć należycie, skrupulatnie i jaknajrychlej się znich publicznie wyrachować. A jednak prof. Loth zapomniał i nietylko zapomniał — nie chciał.

Dziennik Chicagowski konkluduje: „... wobec tego, że tylu najróżnorodniejszych jałmużników z Ojczyzny przewinęło się przez Stany Zjednoczone i w większości wypadków ofiarodawca wychodźczy nie wie, czy składki jego rzeczywiście przyniosły pożytek tym, na których składkował, Wychodźtwo domaga się nietylko szczegółowego i kompletnego wykazu składek, lecz jednocześnie żąda sprawozdania z kosztów misji. Chce ono, jednem słowem, wiedzieć, czy opłaciła się skórka za wyprawkę, gdyż Wychodźtwo nie pragnie bynajmniej opłacać kosztownych podróży panów delegatów, które nietylko, że opróżniają kieszenie polskiego robotnika, lecz w rezultacie nic nie przynoszą Ojczyźnie".

Żądanie to dla dobra reprezentowanej przez prof. Lotha sprawy i przyszłych jałmużników na gruncie amerykańskim, którym zamknął on swoją brutalnością drogę — gorąco popieramy.

*

Wreszcie zarzut najboleśniejszy i naszym zdaniem najcięższy — brutalności i arongancji wobec tych, od których domagał się ofiar na cel przez siebie propagowany.

Na przytoczone powyżej lojalne zarzuty i uwagi prasy polskiej w Ameryce prof. Loth odpowiedział poprostu: „*My w Europie reagujemy na tego rodzaju zaczepki plunięciem w twarz*".

Plunięciem w twarz... w Europie... własnym rodakom na obczyźnie... za ofiary na cele narodowe... za dobrą wolę... za patrjotyzm?.. W której Europie tak postępują ludzie nauki? Jacy ludzie panie profesorze?

W tej bezczelności i arogancji prof. Lotha tkwi cała brudna i podła psyche motłochu adoratorów zbrodni.

Wtargnąć do cudzego domu, zamącić w nim spokój, zagarnąć pieniądze i plunąwszy gospodarzom w twarz na podziękowanie trzasnąć drzwiami... to metoda przypisywana w całej Europie, nawet na Bałkanach, zwykłym rzezimieszkom. I w imieniu tych bodaj prof. Loth złożył amerykańskim rodakom, charakterystyczną dla siebie, deklarację.

I cóż dziwnego, gdy wobec tej niesłychanej brutalności cytowany dziennik stwierdza: „że wysyłanie z misją plujących profesorów nie przynosi Ojczyźnie ani korzyści, ani zaszczytu, a wśród Wychodźtwa pozostawia niesmak i stwarza przekonanie, że wszyscy profesorowie polscy nie argumentują tylko plują..."

Jakżeż łagodni i cierpliwi są ci ludzie, jeśli do żywego oburzająca prowokacja prof. Lotha pozostawia wśród nich tylko ...„niesmak".

*

Oczekiwaliśmy kilka tygodni na rzeczową odpowiedź i usprawiedliwienia prof. Lotha bez nacisku ze strony miejscowej opinji publicznej. Tak się jednak nie stało. Prof. Loth zastował taktykę unikania niewygodnej polemiki.

W tych warunkach musimy zwrócić się do grona profesorów polskich, a w szczególnóści Uniwersytetu Warszawskiego, o publiczne zajęcie stanowiska wobec nietaktów prof. Lotha godzących w pierwszym rzędzie w powagę, etykę obywatelską i rozum polityczny stanu profesorskiego.

Wychodźtwu polskiemu w Ameryce należy się satysfakcja i nie wątpimy, że ją otrzyma.

W. S.

Rozmowy nieuczonych.

Ostatniemi dniami, podczas cześciowego strajku kolejowego udał się na dworzec główny w Warszawie jeden z dziennikarzy w celu zasiągnięcia informacji. Jak to w czasie strajku bywa, na dworcu chaos, masy zdezorjentowanych pasażerów kłębią się pod zamkniętemi kasami, wszyscy nawzajem zarzucają się pytaniami: co będzie?

Po dłuższej wędrówce dziennikarz spotyka wreszcie jakiegoś kolejarza, ze zmartwienia trochę urżniętego.

Zawiązuje się rozmowa:

D. Czy nie mógłby mnie pan wskazać jakiegoś źródła informacji.

K. Informacji?.. a no to niby ja jestem od informacji.

D. Ach to doskonale. Może wobec tego zechce mnie pan poinformować, czy odejdzie pociąg do Gdańska?

K. Do Gdańska?... właściwie to powinien odejść...

D. No dobrze panie, ale kiedy odejdzie?

K. (Po dłuższym filuternym przygotowaniu mimicznem). A... czy pan wie kiedy Witos odejdzie?..

D ..?

Autentyczne.

Baczność!

P. Minister skarbu Kucharski przyznał się przed całym światem, że on i jego zwolennicy, a co zatem idzie i obecny rząd Rzeczypospolitej otrzymali Polskę za darmo.

W tym rzędzie jest dwóch prawników: pp. Nowodworski i Kiernik, i prawdopodobnie oni wiedzą to, co wiadomem jest każdemu prawnikowi, że nasze prawo cywilne zna tylko dwa rodzaje przejścia majątku bezpłatnie, a mianowicie: tytułem darowizny i drogą schedy. Wiadomo też jest wszystkim, że ogromna rzesza ludzi, ktora zdobyła niewyczerpaną swoją energją, potokiem łez i oceanem krwi niepodległość Polski, jeszcze nie wymarła i aktu darowizny na rzecz różnych pasożytów z Polski nie uczyniła. Jeśli więc ci panowie od prawicy tych tytułów prawnych nie osiągnęli, to są przywłaszczycielami ziemi Polskiej i jako tacy, przez całą polską demokrację powinni być traktowani.

Pod sąd!

Innej drogi dla odebrania przywłaszczonego mienia i ukarania przestępców niema. Lecz jakiż to ma być sąd?

Sąd opinji publicznej, sąd, który powinien się ukonstytuować jaknajprędzej, sąd, złożony z miljonów pracowników, których ci „panowie" obdarli z mienia i prowadzą do głodu, sąd tych wszystkich, których myśli i serca dążą ku ulepszeniu bytu, ku uzdrowieniu społeczeństwa po wstrząsach wojny, ku fizycznemu i moralnemu wychowaniu narastającego pokolenia, co jeszcze niewoli zaborów nie poznało i nie odczuło.

Przypomnijmy sobie ucisk pruskich i rosyjskich żołdaków, przypomnijmy sobie niedawne wynarodowienie i nie zapominajmy ani na chwilę ideologji p. Romana Dmowskiego, który w czasach pierwszej rewolucji zjawił się w Petersburgu u wszechwładnego w owej chwili ministra Wittego z propozycją oddania pod jego, Dmowskiego władzę żandarmerji w Polsce, upewniając, że on, jako szef żandarmów szybko uspokoi polskiego robotnika. (*Autentyczne*). Hr. Witte wierzył w pewne zdolności aspiranta do rosyjskiego knuta, wolał jednak oddać go w ręce rosjanina, a p. Dmowskiego obdarzył mianem „*szut gorochowyj*" (po polsku „błazen").

Ów niedoszły szef rosyjskich żandarmów w Polsce po wielu latach „korzystnej pracy" na rzecz demokratycznej Polski otrzymał w darze od swoich zwolenników z p. Witosem na czele tekę ministra spraw zagranicznych.

Caveant consules!

Baczność demokracjo! *M. Łodyga.*

Krotochwilna literatka.

Wychodzi w Warszawie bardzo pożyteczne czasopismo przeznaczone częściowo dla polonji amerykańskiej, którego zadaniem jest nawiązanie stosunków handlowych polsko-amerykańskich, oraz propaganda na naszym gruncie amerykańskich zdobyczy w dziedzinie produkcji przemysłowej, handlu, urządzeń społecznych i t. d. W ostatnim numerze tego, jak podkreśliliśmy, pożytecznego czasopisma rozpoczęto druk powieści p. M. H. Szpyrkówny p. t. „Gwiazdy i Dolary". Czytamy ten rzekomo literacki odcinek pierwszy raz... coś niesłychanego. Początkowo rodzi się przypuszczenie: — jakiś neofuturyzm, a może zgoła nowy jakiś kierunek w piśmiennictwie. Ale już po drugim przeczytaniu wahania i wątpliwości ustępują miejsca wybuchom wesołości. Jest to jednak wesołość z rzeczy smutnych, z bezprzykładnego pastwienia się nad językiem nad stylem w sposób tak pozbawiony samokrytycyzmu, zdolności pisarskich, smaku i poczucia przyzwoitości, że aż śmieszny.

Powieść zaczyna się prosto z mostu: „Przychodzi, jak się zamarzy: są białe bluzki i angielskie spódniczki, są swetry, są zgoła ranne pidżamy, z jakąś pelerynką zwierzchu — no! Nic, coby było widzenia warte. Lepiej wyjść na pokład". — Być może że lepiej. Ale łaskawa autorko, kto do kogo przychodzi, jeśli się „jej" zamarzy i dlaczego — „no!"...? A co na pokładzie?... „Szeroki, świeży wiatr owiewa nagle, jak skrzydła ptaka... Ocean, ogromny ocean, śpi w słońcu, rozkosznie rozglądając w jego blasku drobniutkie zmarszczki tysiąc wiekowego oblicza, i pozwala wiatrom igrać kędziorami białej brody". Zawsze dobrze jest dowiedzieć się czegoś nowego, ale dalibóg — skrzydła owiewające ptaka i „kędziory białej brody oceanu" wpatrzonego w „zmarszczki tysiąc wiekowego oblicza" to jakaś potworna, oszołamiająca nowość. Ale okazuje się, iż właśnie tak powinno

być, bo — „na ten wypadek psychologiczny czekają oddawna przygotowane leżaki“ (*o tempore! o mores!*). „Tam się osamatniają (autorom słowników pod uwagę) amatorzy nastroju...“, „lub palą fajki, zależnie od płci, wieku i temperamentu“, a „majtek“ wiszący na „dachodrapaku“ (słuchajcie) „w chwili tragicznej woła: Ziemia! Ziemia!“ Kiep z tego „majtka“, który „to“ ziemią nazywa, bo za chwilę rzecz się wyjaśnia, że tu akurat o coś innego rzecz się ma cała. „Na każdą nowowchodzącą w strefy leżaków ofiarą (zapewne płci autorki) rzuca się łapczywie (o bestja!) specjalista od tego fachu“. (Ładny kawał. Wiemy już teraz dlaczego panie tak lubią podróżować okrętami). „I nim się człowiek opamięta, już leży jak długi“... a „fachowa (ładny fach!) gęba tak natarczywie doń wyszczerza paszczękę i zapewnia, że takie leżenie to jest very nice i very pleasant, bardzo miłe i bardzo przyjemne — iż trzeba z nim się zgodzić... Ale przyjemność się opłaca. Spokój i rozkosz. Zamyka się oczy...“ Uf! Aż człowieka ciarki po grzbiecie przechodzą od samego czytania o takich rozkoszach. Świetnie! Znakomicie. Rzucić się na ofiarę, wyszczerzyć z „fachowej gęby“ „paszczękę“ i all rigt! Ale po chwili „ugalowana paszczęka uprzejmie się wyszczerza... znaczy to, że jest godzina jedenasta“. Zaczyna się inna zabawa. „Amerykanie rozrywają się (czy zupełnie) nadzwyczaj niewinnie... fikając w powietrzu sportowemi nogami“ „...Dziewczynki się bawią sznurami; któraś nie może przeskoczyć dość zgrabnie i powód gotów... A że tego odłamu swoich zdolności wstydzić się nie potrzebują, więc można widzieć...“ Młodzieży zatkaj uszy watą — dla starszych panów, w tym miejscu, szklanka zimnej wody.

Lecz „najzrozumialszym jest oczywiście (nie dla każdego) tennis, który na okręcie cieszy się powodzeniem, ze względu, że amerykanka lubi ładnie wyglądać i być ładnie ubrana, co ujszcza się przy tennisie“, i stąd właśnie „łatwość z jaką się ze sobą zapoznają i przestają — bez uprzedzeń, obaw i jakichbądź niedyspozycji“. Ależ to u licha jakieś psie obyczaje!!!

Wreszcie — „Lunch! Lëncz po polsku“. Gdzie szanowna autorka znalazła w słownictwie polskim słówko „lëncz“? Darujemy jej jednak ten drobny wynalazek ponieważ jest zasługą tego właśnie „lënczu po polsku“... iż „długość dnia jest tak pokratkowana przez jedzenie, że tryb staje się regularny“. Ładna historja. Zapewne, „jeśli ktoś pokratkuje długość“, uczciwie zasłużył sobie u Pana Boga na regularny „tryb“. Niech mu będzie na zdrowie, autorce również.

Ten odcinek literacki p. M. H Szpyrkówny zaopatrzono uwagą: „Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone — *Copyringht by M. H. Szpyrkówna. Warsaw. 1923*“. Ta uwaga nastręcza inną uwagę, a mianowicie: że literaci są uprzywilejowani w stosunku do czytelników, Należy niezwłocznie zorganizować Związek zawodowy czytelników, któryby zastrzegł również i ich prawa Wówczas stwory literackie á la M. H. Szpyrkówna nie zanieczyszczałyby literatury i języka, co w piśmie przeznaczonym dla kolonji polskich w obcych środowiskach narodowościowych, walczących z miejscowemi naleciałościami języków obcych, jest karygodne i szkodliwe.

w. s.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie **80.000** mk, kwartalnie **240.000** mk. Zagranicą kwartalnie **360.000** mk. Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności № 3298.

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński.**

Zakłady Drukarskie „Prasa“, Tamka 46.